

Anna Kańtoch

Zabawki diabła



powergraph

Warszawa 2019

Copyright © 2005-2019 by Anna Kańtoch
Copyright © 2016-2019 by Powergraph
Copyright © 2016-2019 for the cover illustration by Rafał Kosik
Copyright © 2016-2019 for the cover by Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na okładce: Rafał Kosik
Projekt graficzny i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Olesiejuk Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel.: +48 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel.: +48 22 834 18 25
powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-64384-94-3

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne S.A.
Printed in Poland, EU

0. Mandracourt

— Dość na dzisiaj. Wystarczy!

Stary Petrus powstrzymał chłopców. Linus roześmiał się, zadowolony, bo przez ostatnie kilka minut wyraźnie wygrywał i czuł się zwycięzcą. Niedbałym ruchem cisnął floret w kął wewnętrznego dziedzińca, otarł pot z czoła i odwrócił się.

Domenic zaatakował. W ostatniej chwili wyhamował cios i stępione ostrze lekko uderzyło w plecy Linusa. Ten okręcił się na pięcie, zacisnął dłonie i chciał skoczyć na brata, lecz skutecznie powstrzymał go czubek floretu, który dotykał teraz jego szyi.

— Nie żyjesz — powiedział radośnie Domenic.

— To nieuczciwe! Zaatakowałeś mnie od tyłu!

— Nie należy odwracać się do przeciwnika plecami — pouczył go młodszy brat.

— A prawdziwa walka nie zawsze skończy się z chwilą, gdy odłożysz broń.

— Idiota — skrzywił się Linus. Łatwo wpadał w gniew i równie łatwo się uspokajał, teraz tym łatwiej, że brata lubił, choć ten często go irtował.

— Powiedziałem: dość. — Petrus podniósł się z ławki, splunął flegmą na dziedziniec, po czym przedramieniem otarł usta i gęstą brodę, w której wciąż tkwiły okruszki śniadania. Utykając, podszedł do uczniów.

— Dość mielenia jęzorami. Podnieś broń, Linus. I pamiętajcie, że jak mi który jeszcze raz floret na ziemię rzuci, to uszy oberwę. Czekaście chwilę... — Odetchnął, najwyraźniej szykując się do dłuższej przemowy. — Ty, Linus, jesteś silny i walczysz dobrze, ale ciut za mało myślisz. Pracuj głową, chłopcze, bo bez tego daleko nie zajdziesz. A ty, Domenicu — zwrócił się do młodszego z braci, podczas gdy starszy za plecami nauczyciela wykrzywił twarz w małym grymasie — mógłbyś być lepszy. Dużo lepszy. Za mało się przykładasz. Zrobiłbym z ciebie pierwszego szermierza w królestwie...

Domenic nie odpowiedział, skłonił tylko z szacunkiem głowę. Nie zamierzał tłumaczyć, że powodem ociągania się w ćwiczeniach nie jest lenistwo, lecz przemyślany wybór. W wieku czternastu lat zdecydował już, które umiejętności będą mu potrzebne w życiu bardziej, a które mniej. Szermierka była niewątpliwie ważna, ale nie najważniejsza i nie zamierzał poświęcać jej czasu kosztem ciekawszych zajęć.

Z południowej wieży widać było miasteczko leżące u stóp wzgórza, na którym zbudowano zamek. W oddali rysowały się przysadziste szczyty Gór Tanabryjskich, wciąż okryte śniegiem. Ciągnął od nich zimny wiatr, pod którego wpływem oczy chłopców zaszyły łzami, a z nosów zaczęło cieknąć. Linus wytarł twarz w rękaw, jego brat sięgnął po chusteczkę. Domenic Jordan był jedynym chyba

w Tanabrii czternastolatkiem, który zawsze nosił przy sobie nieskazitelnie czystą, wykrochmaloną chusteczkę.

Jordanowie szybko dojrzewali, tak więc barczysty Linus w wieku szesnastu lat miał już posturę dorosłego mężczyzny. W przeciwieństwie do niego Domenic, który urodę odziedziczył raczej po zmarłej matce niż po ojcu, wydawał się pod wieloma względami jeszcze dzieckiem. Wzrostem dorównywał bratu i zanosilo się na to, że będzie jeszcze wyższy, ale twarz miał wciąż delikatną, długie ręce i nogi nadawały mu zaś niezgrabny wygląd. Wrażenie złudne, bo mimo niezbyt proporcjonalnej sylwetki chłopiec był zaskakująco zwinny.

Drogą od miasteczka zbliżał się jeździec na koniu. Podkowy dźwięcznie uderzały o kamienie, płaszcz mężczyzny łopotał na wietrze. Pierwszy rozpoznał go Linus.

— Turibi — powiedział z nienawiścią, zaciskając pięści. — Suczy syn. Diabli pomiot...

Domenic chciał zapytać, czy ma na myśli Turibiego, czy może ojca, ugryzł się jednak w język, bo twarz brata wykrzywiło cierpienie, a w oczach znów zabłyśły łzy. Tym razem nie miały one nic wspólnego z dmącym od gór wiatrem.

Słońce świeciło mocno, a jego blask był zimny i żółty jak cytrynowy syrop. W kątach dziedzińców, załomach murów i na krużgankach leżały cienie, przez kontrast z intensywną żółcią głębsze niż w jakiegokolwiek innej porze roku. Wiosną w Mandracourt granica pomiędzy światłem i cieniem zawsze była bardzo wyraźna, a w kwietniu tego roku wydawała się ostra jak brzytwa.

Właśnie z takiego mrocznego, zimowego jeszcze cienia wychynął Ptasznik. Wyszedł na słońce i kucnął.

Nosił czarny płaszcz, a jego ciężka, nieproporcjonalnie wielka głowa skrywała się w głębi obszernego kaptura. Wyciągnął ręce, po czym sypnął ziarnem na dziedziniec. Niemal natychmiast zleciały się wróble, orzechówki i czyżyki. Obsiadły przykucniętą czarną postać, skakały wokół jej nóg, wydziobywały ziarno z dłoni.

Na widok Ptasznika schodzący z wieży chłopcy przystanęli. Domenic pochylił się do ucha Linusa.

— Bardzo bym chciał wiedzieć, kim on naprawdę jest — szepnął.

— Przecież wiesz. — Starszy brat wzruszył ramionami.

Nie cierpiał tego pokurcza, ale też nie widział w nim nic interesującego. Karzeł-idiota, który nie miał nawet własnego imienia, był ulubioną maskotką ich ojca. Nikim więcej. Zgadując, że o nim mowa, Ptasznik zerknął w ich stronę. Twarz miał ni to starczą, ni dziecięcą: okrągłą, z głębokimi bruzdami zmarszczek na pucułowatych policzkach.

— Widzę, że ptaki bardzo cię lubią — zagadnął młodszy chłopiec, podchodząc bliżej.

Dziki ptaki poderwały się, spłoszone. Niektóre krążyły jeszcze nad zakapturzoną postacią, jakby uwiązane niewidzialnymi nićmi, potem dopiero niechętnie odleciały.

Karzeł wymamrotał coś, co brzmiało jak „dobre ptaszki, ładne ptaszki”, i uciekł spojrzeniem w bok. Na krótką chwilę, co nie uszło uwagi Domenica, jego twarz przybrała wyraz głupiej, okrutnej chytrności. Unieśli głowy, słysząc gong wzywający na posiłek.

— Daj spokój. — Linus chwycił brata za ramię i pociągnął w stronę sali jadalnej. — Widzisz, że on nawet gadać do rzeczy nie potrafi.

— Wcale nie jestem pewien, czy to naprawdę idiota — zaprotestował Domenic. — Jest w nim coś dziwnego,

coś, co mnie niepokoi... A poza tym — zachichotał cicho — ciekawi mnie, skąd się wzięło jego przezwisko. Może od ptaków, które tak lubi karmić, a może...

— No? — ponaglił go starszy chłopiec zaciekawiony i jednocześnie już odrobinę zirytowany.

— *Avicularia*, czyli po okcytańsku ptasznik, to drapieżny pająk, który poluje nocą. Swoje ofiary paraliżuje jadem.

Linus skrzywił się. Poniewczasie zawsze żałował, że dawał się wciągać w spekulacje brata. Niewiele znajdował w nich sensu, a Domenic pod wieloma względami był strasznym dziwakiem. Odprowadziło ich spojrzenie oczu błyszczących w głębi czarnego kaptura.

Sala jadalna zamku była wielka i chłodna. U sufitu wisiało czterdzieści tarcz herbowych tanabryjskiego rycerstwa – ozdoba tyleż pouczająca, co zbędna. Nikt nie zwracał na nie uwagi, tak jak nikt nie interesował się ponurymi rodzinnymi portretami ani nawet przykurzonym gobelinem, na którym znudzona nimfa przez dwa ostatnie stulecia uwodziła jasnowłosego i obojętnego flecistę.

Od dziesięciu lat, czyli od śmierci pani na Mandracourt, posiłki w tej sali przypominały stypę. Biesiadnicy jedli w milczeniu, pracowicie obracając sztucami, nie patrząc na towarzyszy stołu. Ten posiłek w niczym nie różnił się od typowych, mimo że gościli na obiedzie Silvestre Turibiego. Chudy jak grochowa tyka plenipotent Jordanów zajął miejsce obok gospodarza. Od lat cierpiał na dolegliwości żołądka, które pozwalały mu spożywać jedynie lekkostrawne dania. Jadł więc tłuczone ziemniaki bez żadnej okrasy i gotowaną cebulę,

obficie popijając wodnistym piwem. Nabierał na łyżkę kolejne kęsy, po czym pakował je do ust z metodycznością sługi, który dorzuca drew do kominka, a jego łysina błyszczała od potu, jakby proces przeżuwania był dla niego niezwykłym wysiłkiem.

Ciekawe, co ojciec sprzedał tym razem, myślał Domenic, pochylając się nad swoim talerzem. Wysokie Łąki? A może las? I ciekawe, jakiego znowu szemranego czarnoksiężnika czy maga opłaca. Tak czy inaczej, biedny Linus znów jest wściekły. On utratę każdego skrawka naszej ziemi przeżywa tak, jakby odcinano mu kawałek ciała.

Miejsce naprzeciw Domenica pozostało puste. Starał się nie patrzeć w tamtą stronę, a gdy usłyszał gniewny pomruk, zgarbił się, wciągając głowę w ramiona. Wiedział, że ojciec jest wściekły i że wściekłość tę wyładuje na którymś z synów. Prawdopodobnie właśnie na nim.

— Domenicu?

Drgnął i wyprostował się. Ojciec spoglądał na niego spod krzaczastych brwi. Jego twarz przypominała groteskową maskę, bo prawy kącik ust unosił się w lekkim uśmiechu, a lewy opadał smutno. Trzy lata temu don Albert Jordan, pan na Mandracourt, rozgniewał się na swego młodszego syna i bił go tak długo, aż sam bez ducha upadł na podłogę. Przez kilka dni leżał w łóżku, bełkocząc coś bez sensu, niezdolny nawet podnieść się o własnych siłach. Wrócił do zdrowia, jednak lewa połowa jego ciała nigdy nie odzyskała pełnej sprawności. Rysy twarzy z tej strony miał obwisłe, dłoni nie potrafił zacisnąć w pięść, a nogą, choć starał się to ukryć, odrobinę powłóczył.

— Czy uporządkowałeś już moje notatki?

— Tak, ojczce.

— Tak... szybko? — Albert Jordan przeciągnął te dwa słowa, nadając im ton groźby.

Domenic milczał. Żadna odpowiedź nie wydawała się teraz właściwa. Ale oczywiście milczenie także nie było dobrym rozwiązaniem.

— Odpowiadaj, kiedy do ciebie mówię.

— Potrafię pracować bardzo szybko — odparł i spojrzął ojcu w oczy. Nie hardo, nie z wyzwaniem, a po prostu pogodzony z tym, co się za chwilę stanie.

Mężczyzna gwałtownie odsunął krzesło, wstał i podszedł do syna.

— Widziałem w twoich oczach diabła — szepnął, pochylając się nad nim. — Dzisiaj wyjrzał już trzy razy. Pierwszy raz rano w pracowni, dokładnie o wpół do ósmej. Drugi, gdy mijales mnie w korytarzu, kwadrans po dziesiątej. I trzeci przed chwilą.

— Ojciec pomylił się co najmniej raz — powiedział chłopiec spokojnie, bo teraz jego słowa nie miały już i tak żadnego znaczenia. — Kwadrans po dziesiątej diabeł poszedł zjeść śniadanie.

Albert Jordan uniósł prawą, sprawną rękę i uderzył go na odlew w twarz. Przez moment Domenic miał wrażenie, że głowa spadnie mu z ramion jak ułamana makówka. Zaciśnął zęby i czekał na kolejny cios. Tym razem dostał prosto w nos. Gdy oszołomiony bólem chwycił w usta powietrze wraz z krwią, ojciec złapał go za włosy i przysunął jego czoło do stołu, najwyraźniej gotów wyróżnać nim w półmisek z mięsem. Różowobrazowe plastry dzicyzny z jednej strony otoczone były warstwą świętego sosu, a z drugiej powiększającą się kałużą świeżej krwi.

Przestraszona służba pochowała się po kątach. W sali jadalnej zapanowało milczenie.

Linus nie śmiał podnieść wzroku znad talerza. Próbował jeść, ale kęs chleba utknął mu w ustach, z każdą chwilą coraz większy i bardziej suchy. Chłopak czuł przerażenie, odrobinę pogardy dla brata, a głęboko na dnie jego serca tkwiło jeszcze coś na kształt urazy. Albert Jordan nie wiedzieć czemu większą niechęcią darzył Domenica, choć ten był posłuszny i uprzejmy. A przecież, niejasno uświadamiał sobie Linus, ten konflikt powinien rozgrywać się pomiędzy ojcem a nim, czyli starszym, prawie już dorosłym synem.

Silvestre Turibi wymamrotał coś, na co nikt nie zwrócił uwagi, wstał i chyłkiem, niczym długonogi pająk, pomknął w stronę drzwi. W progu wykonał niezgrabny ukłon, mruknął: „obowiązki, rozumiecie” i wybiegł, niemal zderzając się z jasnowłosą panną, która właśnie weszła do sali jadalnej.

Dziewczyna stanęła, szeroko otwartymi oczami spoglądając na scenę, która rozgrywała się przy stole.

Pan na Mandracourt puścił włosy syna, a ten natychmiast sięgnął po chusteczkę i przyłożył ją do nosa, by zatamować krwotok.

Nowo przybyła nie wyglądała na przestraszoną. Była po prostu smutna, przejęta bólem. Śliczna szesnastolatka z dołeczkami w policzkach, ubrana w brązową lnianą suknię. Wyraz cierpienia sprawił, że jej łagodna twarz upodobniła się do oblicza frasobliwej madonny.

— Alais — Albert Jordan warknął jej imię, jakby rzucał obelgę — kazałem ci przychodzić punktualnie na posiłki, prawda?

— Wybacz, wuju, ja...

— Znów byłaś w mieście?

Skłamał, poprosił ją w myślach Domenic, powiedz, że źle się czułaś albo nawet że czytałaś książkę i nie usły-

szalaś gongu. Ale nie mów, że poszłaś do miasta. Wiesz, że stary tego nie cierpi. Uwierzy ci. Tobie nie sposób nie wierzyć.

Lecz oczywiście Alais nie mogła skłamać. Zawsze mówiła prawdę, nie znała wątpliwości ani lęku. Wypełniała ją moc boża, silna i czysta. Obecność dziewczyny była w ponurym Mandracourt jak zimny płomień rozpalony pośrodku ciemności.

— Odwiedziłam cioteczkę Vianne — odparła z odruchową szczerością. Patrzyła przy tym nie na wuja, lecz na młodszego kuzyna. — Chorowała, ale na szczęście poczuła się dużo lepiej, gdy tylko przyszłam.

Domenic spojrział jej w oczy i lekko pokręcił głową. Napięcie na twarzy Alais zelzało, ale wciąż nie spuszczała z niego pełnego współczucia wzroku.

— Patrz w moją stronę, kiedy do mnie mówisz! — wysyczał Albert Jordan z furją.

Posłuchała. Mężczyzna cofnął się odruchowo.

— Proszę mnie nie bić, bo to będzie już drugi grzech wuja. Źle jest bić ludzi.

Chłopiec zachichotał i zaraz umilkł, gdyż śmiech wywołał nową falę bólu.

Źle jest bić ludzi.

Słowa, które wypowiedziane przez kogoś innego zabrzmiałyby dziecinnie, w ustach Alais miały nieoczekiwaną powagę, niczym prosta, a zapomniana biblijna prawda.

Wargi don Alberta zadrgały. Odwrócił się, oparł ręce o stół, pochylając głowę. Domenic kątem oka dostrzegł wyraz jego twarzy i pojął ze zdumieniem, że pan na Mandracourt boi się swej wychowanicy.

— Wynoście się stąd — powiedział mężczyzna, z trudem panując nad głosem. — Wszyscy.

— Boli?

— Nie, już nie — odparł Domenic zgodnie z prawdą.

Alais dotknęła jego posiniaczonej twarzy i to wystarczyło, by ból minął.

Linus uważał kuzynkę za wariatkę, ale młodszy chłopiec wierzył bez zastrzeżeń w jej moc. Nieraz odczuł ją przecież na własnej skórze.

Posunął się, robiąc dziewczynie miejsce na otomanie, którą obito błękitnym adamaszkiem malowanym w barwne rajskie ptaki. Komnata Alais, niegdyś należąca do matki chłopców, była najprzytulniejszym pomieszczeniem w zamku. Wciąż zaznaczał się tu wpływ kobiecego gustu, choć jaskrawe barwy obić i zasłon dawno już spłowieły.

— Usiądź tutaj.

Przytuliła się do jego boku. W świetle słońca, które wpadało przez wysoko umieszczone okno, jej włosy miały barwę starego złota.

— Naprawdę ciotka Vianne wyzdrowiała, gdy ją odwiedziłaś?

— Tak. — Uśmiechnęła się pogodnie. — Od razu spadła jej gorączka i przestała kaszleć. A potem jeszcze szwagierka cioteczki Vianne przysłała ze swoją córeczką, która była cała opuchnięta od bólu zębów, i jej też pomogłam.

— Alais, to może być... — nie miał pojęcia, jak to ująć — niebezpieczne. Ludzie z miasteczka prawie się do ciebie modlą...

Dwa dni temu widział coś takiego na własne oczy. Dziewczyna szła przez łąkę, kiedy jakiś mężczyzna, z wyglądu stateczny i zamożny mieszczanin, dogonił ją, poprosił o błogosławieństwo, po czym ukląkł u jej stóp i z szacunkiem ucałował skraj sukni. Wszyscy w miasteczku wiedzieli, że Alais obdarzona jest szczególną łaską i zapo-

wiada się na przyszłą świętą. Trudno było znaleźć w tym coś złego, ale czasem dziewczyna budziła w najmłodszym Jordanie lęk. Pozbawiona najmniejszej skazy, zdawała się nieludzka w swojej bezgrzesznej doskonałości. Ogień miłości bożej, który w niej płonął, raził słabych śmiertelników i Domenic wolałby chyba, aby jego śliczna jasnowłosa kuzynka była zwyczajną panną.

A może i nie. Może pociągała go właśnie ze względu na tajemnicę, którą w sobie nosiła. Zawsze intrygowało go to, co nieznanne, a ona była tak niezwykle i obca, że za nic nie potrafił jej zrozumieć. Pragnął ją pocałować nie tylko ze względu na jej złote włosy i ładną buzię, ale także dlatego, że ciekawiło go, jak na pocałunek zareaguje przyszła święta.

— Oni nie modlą się do mnie, tylko do Boga, który przeze mnie przemawia — zaprotestowała łagodnie. — I do aniołów, które czasem mi towarzyszą.

Nie miał wątpliwości, że Alais mówi prawdę, choć przecież nikt prócz maleńkich dzieci nie wierzył w anioły, ale ona nigdy jeszcze nie skłamała i – wbrew temu, co wygadywał Linus – nie była też wariatką.

Z ociąganiem wstał z kanapy. Na ramieniu, tam gdzie opierała głowę, wciąż czuł ciepło jej ciała.

— Muszę iść — powiedział. — Linus prosił, żebym przyszedł na północną wieżę. Podobno ma mi do powiedzenia coś ważnego.

U stóp północnej wieży rozciągała się głęboka przepaść. Dawniej Domenicowi kręciło się w głowie, gdy w nią patrzył.

Patrzył więc tak długo, aż się przyzwyczaił, i teraz ten widok nie robił na nim wrażenia.

Cztery wieże obronne zamku Mandracourt były ulubionymi miejscami spotkań obu chłopców, przyjemniejszymi niż krużganki i dziedzińce, po których kręciła się służba, czy komnaty, w których pachniało zakurzoną chwałą dawno minionych dni. Tylko tu mogli spokojnie porozmawiać, bez obaw, że ktoś im przeszkodzi.

— Wypij. — Linus na powitanie wcisnął w dłoń brata butelkę wina. — To złagodzi ból.

— Nie trzeba. Alais już mi pomogła.

Starszy chłopiec spróbował wyszczerzyć zęby w radośnym uśmiechu, ale gniew i ból sprawiły, że zamiast tego wykrzywił usta. Domenic domyślił się, że brat wie już, co takiego sprzedał ich ojciec dzisiejszego dnia.

— Szybko się uczysz. Nie ma to jak ładna dziewczyna, żeby ulżyć w cierpieniu, co? Pogłaskała cię i pocałowała? A może i coś więcej?

Linus mówił bez kpiącej wyrozumiałości, jakiej zazwyczaj używał, gdy żartował z przywiązania Domenica do Alais. Dopełnił rytuału, lecz jego myśli krążyły teraz wokół zupełnie innych spraw.

— Ojciec sprzedał Wysokie Łąki. Najlepszy kawałek naszej ziemi. Wiem, bo go zapytałem. Ledwo zebrałem się na odwagę, ale zapytałem. I odpowiedział. Sprzedał je w zamian za jakąś księgę, której nawet jeszcze nie dostał, bo czarownik, jakiś szarlatan z Talavere, zażądał pieniędzy z góry.

Domenic milczał. Bał się odpowiedzieć czy choćby zmienić wyraz twarzy. Bał się, że cokolwiek zrobi, tylko jeszcze bardziej zrani brata. Współczuł mu, ale nie potrafił tego okazać. Jego samego sprzedaż Wysokich Łąg niewiele obeszła. Nigdy nie czuł się zbyt przywiązany do Mandracourt. Wiedział, że gdy tylko osiągnie odpowiedni wiek, odejdzie stąd, może z gniewem i żalem, ale

bez nienawiści w sercu. A potem ruszy na południe, do stolicy, pójdzie na studia i zapomni o ojcu. Ta świadomość sprawiała, że trudno go było naprawdę urazić, co doprowadzało Alberta Jordana do wściekłości. Dlatego właśnie tak często bił młodszego syna, mimo iż ten był pracowity i spokojny.

— Linus... — zaczął po chwili niepewnie i urwał. Starszy chłopiec wyjął z kieszeni monetę, obracał ją przez chwilę w palcach, obserwując błyski światła na srebrnej powierzchni, a potem cisnął w dół.

Pochylili się nad przepaścią. Czekali w słońcu, a wiatr, cieplejszy teraz i mniej gwałtowny, bawił się ich włosami. W końcu usłyszeli uderzający o skałę metal, odgłos tak cichy i odległy, że wydawał się tylko duchem prawdziwego dźwięku.

Pierwszy uniósł głowę Linus.

— Powinniśmy zabić naszego ojca — powiedział.

Mury zamku nadal rzucały za plecami chłopców głęboki i chłodny cień, ponad nimi krążyły ptaki, a z głównego dziedzińca dobiegały piski jakiejś pokojówki przerywane od czasu do czasu tubalnym męskim śmiechem. Nic się nie zmieniło, a jednocześnie zmieniło się wszystko. Gdy Domenic spojrział w oczy brata, zobaczył w nich chęć, by cofnąć te słowa, udać, że nigdy nie zostały wypowiedziane. Lecz to nie było możliwe. Słowa wisiały w powietrzu równie realne jak srebrna moneta niewidoczna z wieży, a przecież wciąż leżąca głęboko na dnie przepaści.

— Zgadzasz się ze mną?

Młodszy chłopiec powoli skinął głową. Linus mówił, nie podnosząc głosu, ale był przy tym tak spięty, że wydawało się, iż wystarczy jedno nieostrożne słowo ze strony brata, jedno skrzywienie warg, by spowodować wybuch. Wściekłości lub płaczu. Albo jednego i drugiego.

— Jeśli tego nie zrobimy, on sprzeda wszystko, całe nasze dziedzictwo, a my jak dziady proszalne zostaniemy wygnani z własnego domu. Nie wiem jak ty, ale ja nie zamierzam do tego dopuścić.

Według Linusa świat był prosty: ojcowie mieli prawo bić dzieci, a dzieci z kolei, gdy już dorosły, miały prawo buntować się przeciwko ojcom. I choć proces ten ze względu na okrucieństwo Alberta Jordana przebiegał w Mandracourt z niezwykłą ostrością, to Linus nie widział w nim nic niezwykłego. Chciał zabić ojca bynajmniej nie dlatego, że ten znęcał się nad synami. To sprzedaż rodzinnego majątku uważał za coś nienaturalnego, co łamało odwieczny porządek rzeczy, i tego właśnie nie mógł wybaczyć. Był Jordanem z krwi i kości, a miłość do Mandracourt płynęła w jego żyłach.

Zabijemy go dla stu dwudziestu tysięcy eccu, pomyślał z goryczą Domenic, gdyż tyle mniej więcej były warte ich ziemie. Mimo to znów przytaknął. Nie kochał Mandracourt, ale kochał brata, a tylko w ten sposób potrafił go o tym zapewnić.

Linus wyjął z kieszeni kolejną srebrną monetę, po czym zważył ją w dłoni.

— Jeśli wypadnie król, ja to zrobię, jeśli reszka, ty — powiedział. — Tak będzie sprawiedliwie.

Rzucił pieniążek i zręcznie chwycił go na płasko podłożoną dłoń.

Domenic wstrzymał oddech. Nie widział nic prócz srebrnego kółka, które rozmazywało się przed jego oczami i przypominało teraz maleńki księżyc odbity w falującej powierzchni stawu.

— Król — powiedział Linus.

Przyjął to spokojnie, bo tak musiało być. W ten sposób przecież urządzony został świat. Młodszy bracia starali się